

andrzej horubała

pluszak

Teologia
Polityczna

ANDRZEJ HORUBAŁA

PLUSZAK

Teologia Polityczna
Warszawa 2024

Industrialna kaplica, która równie dobrze mogłaby być pracowniczą stołówką. Zero sacrum. Wiosenne światło wpada przez szyby, wydobywając smugi kurzu wzniesianego przez dzieci. Łażą wszędzie, ledwie dyscyplinowane przez rodziców.

Chłopaczek przedszkolak woła swoją ledwie chodzącą siostrę, by przyszła do niego, za ołtarz, że tu fajnie.

Dziewczynka w adidasach z wmontowanymi w podeszwy ledami uparcie kroczy w tę i z powrotem, błyskając światełkami.

Ksiądz, tym razem jakiś młodziak na zastępstwie. Z gatunku takich, co płakały za nim dziewczyny, gdy szedł do seminarium. Stoi za ołtarzem między pełzającymi dziećmi i stara się konsekwentnie brnąć z mszą do przodu. Pomaga mu w tym zresztą zespół muzyczny rodziców i maluchy. Piosenkami załatwiają dużą część mszy. Surowa krótko obcięta blondynka przy mikrofonie. Nadaje ton, otwiera usta szeroko, instruktazowo.

Wśród płaczu i gadania dzieci, jakoś wszystko idzie punkt po punkcie. Już po Ewangelii. Przystojny ksiądz zamiast kazania przygotował bajeczkę o męznym zającu i ciągnie opowieść z przyklejonym dobrotliwym

uśmiechem. Zajączek poświęcający swe życie za przyjaciół z lasu. Kapłan utkwiał wzrok w jednym punkcie, by nie rozpraszały go dzieci. A te, zaproszone na dywan pod ołtarz, nie odpuszczają. Ruch jak w ulu albo w chlewiku. Jazgot, płacz, gadanie dzieci rośnie i opada, zmieniając się czasem w jakieś dziwne złowrogie buczenie.

On – słucha opowieści o leśnych perypetiach zwierząt i w pewnym momencie nachyla się do Agnieszki i szepcze: zobaczysz, zaraz ukrzyżują zajączka. Prostuje się w krześle zadowolony, ale nagle zaczyna trząść się od bezgłośnego śmiechu.

Zerka na kapłana w skupieniu ciągnącego swoją bajeczkę i próbuje się uspokoić. Na nic. Trzęsie nim. Parska, ale dławi to jeszcze jakoś, więc uczestnicy dziecięcej mszy mogą to przyjąć za kasznięcie, odchrząknięcie, coś może z trawieniem. Ale nie, nie da rady. Śmiech domaga się uwolnienia.

Patrzy znów na księdza, stara się przybrać nabożną minę, ale sam ten wysiłek rozśmiesza go jeszcze bardziej i śmieje się już nie tylko z absurdalnej bajeczki, ale i ze swoich prób zachowania powagi. Śmiech trzęsie nim, męczy jak czkawka, nad którą nie masz władzy, to idzie od wnętrza, brzuch w skurczach i całe ciało wpada w rezonans. Śmiech rodzi śmiech. Parska znów.

Dziewczynka z blond warkoczami obraca się ku niemu z przedniego rzędu i zdziwiona gapi niebieskimi ślepiami. Rezolutka z szeroką, bezczelną twarzą. Próbuje odpowiedzieć jej poważnym spojrzeniem, ale to już całkiem go rozkłada. Nie może, no nie. Żeby tylko nie zaflukał się glutami, bo tłumiony wybuch idzie do nosa. Czuje, że już wszyscy gapią się na niego, ci solidni ojcowie, wrażliwe mamusie, dzieciaki. Robi przeprosalną minę, próbuje wzrokiem obiecać, że zaraz to skończy,

zaraz się uspokoi, ale przychodzi kolejna faza, nie, sorry, nie. Zajączek zajączek. Na nic dyscyplinowanie się.

Agnieszka patrzy karcąco. Nie da rady. Poddaje się. Wstaje i zostawia ją z córeczkami. Przeciska się między innymi rodzicami i dziećmi. Przesuwa ze zgrzytem wolne krzesła. Wydaje dziwaczne dźwięki, wstrząsany kolejnymi falami, gdy stłumienie jest zapowiedzią jeszcze mocniejszego wybuchu. Prawie wybiega z kaplicy.

Zamyka za sobą szklane drzwi z ciężką metalową ramą i wreszcie może dać upust śmiechowi. Wyje prawie.

Zbiega po schodach z lastryko.

Na zewnątrz, za drugimi drzwiami, odpuszcza zupełnie.

Zajączek zajączek – powtarza i śmieje się na różne sposoby. To już pełne spektrum: od cichego chichotu po dudniący rechot.

Zajączek zajączek – mówi półgłosem, jakby chciał komuś opowiedzieć i upewnić się, że to komiczne, że naprawdę miał powód.

– Czy wierzysz, że Pan Bóg pokochał Cię? – przez szybę na górze słyszysz, jak zespół z despotyczną blondynką na czele inicjuje śpiewane dziecięce credo.

– Wierzę i kocham Go – odpowiadają dzieci.

– Że wszystko, co dobre, od Niego jest?...

No tak, zaraz się uspokoi. Dopadło go. Klasyczna śmiechawka. Gdy tłumiona, potęguje się jeszcze bardziej. Zdawało się, że to raczej przypadłość dziecięca, co najwyżej młodzieńcza, ale okazuje się, że i teraz może zaatakować. Ale to вина księdza – myśli. Co za idiotyzm. Zamiast kazania – opowiastka, jak to zajączek postanowił ofiarować się za wszystkie zwierzęta zagrożone przez myśliwego. Wcielenie Pana Jezusa, dajcie spokój.

Opiera się o klinkierowy mur, łapie oddech. Jeszcze nie daje rady w pełni odetchnąć, ale powoli wraca do ładu.

Było parę spektakularnych śmiechawek w młodości. Pamięta złość na twarzy katechety i jak ten jezuita w przepoconej sutannie szarpał go za rękę wyciągając z kościelnej ławki. Bolało, ale należało się.

Dostawał tych ataków śmiechu nie raz. I to głównie w kościele. A im bardziej chciał stłumić śmiech, tym było gorzej. Nie pomagało uznanie tego za szatański chichot, odwoływanie się do Boga, przekonywanie, że Chrystus się nie śmiał. Na nic takie egzorcyzmy. Śmiech jest odporny na modlitwy. Trząsał się cały, wydawał jakieś nieartykułowane dźwięki, rzeził, nie mógł, nie mógł powstrzymać wstrząsających nim fal rechotu. Karcił się, wmawiał, że to nic śmiesznego i znów dygotał od śmiechu. A tam, za ołtarzem u jezuitów, jeszcze w starej kaplicy, którą potem przerobiono na hurtownię azjatyckiej odzieży – kryształowa trumna mieszcząca nie jakąś Królową Śnieżkę, tylko katolickiego męczennika bestialsko zamordowanego przez Kozaków. Prawosławie przeciw katolicyzmowi. Ot, taki spór w rodzinie. Zafundowali naszemu Andrzejowi straszną kaźń, nie wiedząc, jak zresztą nie wiedzą wszyscy oprawcy na całym świecie, że wpisują się w Boży Plan. Powodowani wściekłą nienawiścią tworzyli dla Polski narodowego Patrona. Przypiekali go na ogniu, wycinali skórę, skalpowali, zaciągnęli do rzeźni, gdzie zawiesiwszy go na haku oprawiali jak zwierzę. Żądali przejścia na prawosławie, a gdy ten odmawiał i chwalił jeden święty katolicki Kościół, przez dziurę wyrżniętą w karku odcięli mu język. „Lach tańczy” – szydził, gdy jego umęczonym ciałem wstrząsały konwulsje.

Pluszak
Andrzej Horubała

Stoi i stara się ochłonać.

Zajączek.

Oddycha rytmicznie. Już dobrze, już dobrze.

Zajączek – powtarza.

Czemu nie?

Prostuje się i rozgląda po dziedzińcu. Widzi ostro. Figura męczennika trochę bez sensu postawiona na środku trawnika. Zaparkowane samochody, luksusowe i te mocno przechodzone, rowery z siedzonkami dla maluchów przypięte do stojaków.

Wycieńczony. Czuje, jak nadchodzi wielkie zwątpienie.

A może Pan Jezus, do którego wzdychają, jest rzeczywiście takim pluszakiem z dzieciństwa, tajemniczym przyjacielem, niemyym stworkiem, z którego czynimy powiernika naszych małych sekretów?

Myśli zaczynają buzować. Bo faktycznie, czy te wszystkie „Panie Jezu, Ty się tym zajmij”, te wyszeptywane „Jezu, ufam Tobie”, te opowiadki o Jezusie, do którego można zawsze westchnąć i mu ofiarować swe problemy, czy to wszystko nie jest refleksem z dziecięcego pokoiku?

Te godziny spędzone na modlitwie, te akty strzeliste, czymże się różnią się od zwierzania się i szeptania w uszko pluszakowi. Że wcale nie chciałem gniewać mamy, że jest mi smutno, bo Tomek nie chce się ze mną bawić. Zrób, żeby mama nie płakała, by wyzdrowiała, by tata się nie złościł na mnie...

Pamięta swojego pluszowego szarego osiołka w sztruksowym ubranku, który był jego przyjacielem z młodych lat. Dostał go pod choinkę, ale przecież wybrał go sobie sam, w wielkim sklepie z zabawkami przy kinie Moskwa.

Pluszak
Andrzej Horubała

Zobaczył go, jak siedzi na półce wśród innych zabawek, efektownych wielkich misiów, lalek w pudełkach, pajacyków, i od razu wiedział, że ten osiołek i tylko on. W czerwonych sztruksowych spodniach i żółtej koszulce. Taki osiołek – ludzik, bo przecież nie czworonóg, tylko jak człowiek, z nogami i rękami, zakończonymi pluszowymi półkulami. Oczy nieco wytrzeszczone: metalowe guziki na białym podkładzie. Otwarta buzia z języczkiem i wystające górne zęby zrobione ze sztywnej ceratki.

Wyszli ze sklepu, bo zgodnie z tradycją wszystko musiało być niespodzianką i nie przystawało, by kupiono mu świąteczny prezent na jego oczach. Żył w niepewności parę dni, ale przecież pod choinką znalazł swojego pluszaka.

Zapach choinki z prawdziwymi świeczkami, które w blaszanych lichtarzykach z klipsami przyczepianymi do gałązek, naprawdę się zapalało! Osiołek pospiesznie odpakowany z rozrywanego szarego papieru.

Nie nadał mu imienia, był po prostu jego osiołkiem. Nazywał się – Osiołek.

Niezdarny, niezbyt piękny, z gapowato wybałuszonymi oczyma.

Tulił się do niego, płakał, nieraz wycierał łzy w jego ubranko, a on patrzył na niego pustym wzrokiem i szczyrzył ceratowe białutkie ząbki. Musiał bronić go przed szyderstwami Pawełka, kolegi z przedszkola, który raczej bawił się żołnierzykami i nie mógł pojąć, że jego rówieśnik może lokować uczucia w czymś tak śmiesznie wyglądającym.

Razem z osiołkiem dojrzewał na swój dziecinny sposób. Razem z jego starzeniem pobierał przyspieszone lekcje o przemijaniu. Że życie nie jest doskonałe i wszystko ulega zepsuciu. Mama zdołała jeszcze przyszyć wyprowadzony przez dziurkę w spodniach ogonek zwieńczony kępką sznurczków, ale mechacenie i wycieranie się pluszu było nie do zatrzymania.

Pluszak
Andrzej Horubała

Głowę też trzeba było mocować na nowo, ale osiołek z czasem marniał i blakł coraz bardziej... Rozczulający w swej drodze ku nicości, patrzył na niego wyłupiastymi oczami.

Więc w miejsce osiołka stworzył sobie większego pluszaka? Pluszaka Jezusa i jemu teraz się żali, i jego prosi o wsparcie, i jemu się zwierza?

Pamięta: jadą rozklekotanym fordem nad morze, przełącza na Radio Maryja na odmawianą razem ze słuchaczami koronkę do Miłosierdzia Bożego. Co zaszkodzi. I w pewnym momencie telefon od staruszki. Ta podejmuje modlitwę, ale niemal płacze. Z łkaniem wypowiada to swoje „Dla Jego bolesnej męki”. Słysząc pociąganie nosem i wielką żałość, rozpacz prawie. Pewnie kapią łzy. Ksiądz w rozgłośni słucha, najpierw pewnie podejrzliwie, czy to nie jakiś żart, kpina, potem chrząka znacząco. Naprawdę chrząka. Z lekką przyganą.

A staruszka dalej, kolejne: „Dla Jego bolesnej Męki” i słysząc ten ból męki, serio. To jest prawdziwe współczucie! To współ-cierpienie, to jest wręcz współ-odkupienie!

W radiowej reżyserce jakieś poruszenie, trochę jakby ścisząją głos modlącej się. Jeszcze z pięć wezwań. Byle dotrwać.

Prowadzący radiową modlitwę ksiądz mówi szeptem: spokojnie, spokojnie.

On, z rękoma na kierownicy ich forda, nie wytrzymuje. Wybucha śmiechem. Słyszałaś? Agnieszka do niego: uspokój się, dzieci słuchają, ale przecież to flajtasiki, przedszkolaki. Parodiując głos księdza, mówi: spokojnie, spokojnie, proszę się tak nie przejmować, przecież to tylko tak na niby. I parska śmiechem.

No tak, powinien powiedzieć: to tak na niby, to tylko takiego większego pluszaka żeśmy sobie wymyślili.

Agnieszka nie lubi tych jego szyderstw. Nawet trochę się ich boi. Boi się o niego.

Do dużego kościoła, z zewnętrznymi żelbetonowymi filarami czyniącymi zeń kanciastego megapajaka, zaczynają przybywać ludzie na mszę dla dorosłych. Schodzą się jak zapobiegliwe robaczki, zewsząd, by zanurzyć się w cotygodniowym rytuale.

Przypomina sobie te przyjaciółki, co to „spotkały Jezusa”, i dnie, i tygodnie całe przepędzały na jednostronnym – powiedzmy sobie szczerze – z Nim dialogu. Opowieści, jak to Pan Jezus załatwiał im, wskutek strzeżonego aktu, wolne miejsce na parkingu, jak dbał o ich dzieci w szkole, jak rozwiązywał finansowe problemy.

Słyszysz z kaplicy dzwonek na podniesienie. Nie wróci przecież na mszę, mamusie zabiłyby go wzrokiem, zresztą, spojrzalby na księdza i znów parsknął. Nie, nie wróci tam.

Bierze głęboki oddech. Udaje się. Okay, już nic nie nadchodzi.

Świergołą zawzięcie ptaki. Po niebie zasuwiają obłoczki. Wiosna.

Ruda mamusia pcha inwalidzki wózek w kierunku ich kaplicy. Kilkuletni chłopiec z porażeniem mózgowym, śliniący się, z rękoma wygiętymi niczym konary drzewa i chudziutkimi nóżkami. Głowa przekrzywiona, spojrzenie gdzieś w niebo, wystające zęby, trochę jak u jego osiołka. Tak! To przecież zęby osiołka.

Nad chłopcem lekko piegowata rudzinka, której słoneczne roześmiane życie nagle przecięte zostało urodzeniem tego nieboraka.

Robi krok w jej stronę, chcąc pomóc, ale ona uśmiecha się do niego, że nie trzeba, da radę i rzeczywiście, sprawnie radzi sobie ze schodami. Energicznie obraca wózek tyłem i wciąga do góry. Umieśnione smukłe

nogi w błękitnych legginsach, balansowanie ciałem, prawdziwy matczyzny balet.

Na górze jeszcze raz posyła mu uśmiech. Daje radę. Dekolt i złoty krzyżyk, który nagle błyska odbijając zabłąkany refleks słońca.

– Spóźniłam się? – uśmiecha się trochę zawstydzona, tłumacząc się, jakby widziała w nim jakiegoś parafialnego aktywistę.

– Trochę – odpowiada, a ona rzuca:

– Szczęść Boże!

On macha przecząco ręką, chcąc się wytłumaczyć, że nie jest żadnym kościelnym działaczem, ale ona pupą odpycha drzwi i znika w ciemnym przedsionku.

Słońce wychodzi w pełni zza chmur, a on, mrużąc oczy, łapie się na tym, że kompletnie nie zrozumiał sprawy. Że przecież jest odwrotnie: to nasze tulenie misiów, osiołków, laleczek, ci tajemniczy przyjaciele z dzieciństwa, którym zwierzałyśmy się ze swoich sekretów, którym powierzałyśmy nasze troski, do których przytulaliśmy się, by poczuć bezpiecznie, tak, to wszystko było przygotowaniem na nadejście Jezusa do naszych serc, do spotkania z prawdziwym przyjacielem, takim na dojrzałe życie, takim serio. Najpierw to jeszcze podawane w bajkowej otoczce, z tajemnicą pierwszej komunii, łagodnego białego opłatka, a później z coraz większą liczbą drastycznych szczegółów i wędrujemy już do wiecznika, gdzie podawany chleb nie jest już nieskazitelnym białutkim płatkim, tylko plackiem na zakwasie, powichrowanym, łamliwym. I oto w swe dłonie, które lekko pocą się zimnym lękiem, bo przecież idzie Pan na mękę, by mierzyć się z siłami zła, z okrucieństwem świata, by ginąć za nas, oto w dłonie ujmuje połamane kawałki chleba i podaje

uczniom, o których wie, że wszyscy się rozproszą. Woń potu miesza się z aromatem nardowego olejku, którym został niedawno namaszczony. Coraz bardziej z upływem lat odchodzimy od niewinności opłatka, coraz bardziej ów chleb jest zmieszany z goryczą żywota. Wiemy, że biel hostii jest myląca. Że ziarna obumierają, są miążdżone – myśli, choć kompletnie nie zna się ani na rolnictwie, ani młynarstwie. I słodki Pan Jezus z pierwszokomunijnych obrazków, coraz bardziej staje się żywym cielesnym człowiekiem, śmierdzącym strachem, maltretowanym, który, walcząc z rozpaczą, zostawia nam siebie, byśmy mogli Go przywoływać w chlebie i winie.

Prostuje się, ociera łzy. Znów się wzrusza sobą? Bierze głęboki oddech już nie burzony spazmami śmiechu. Zaraz przyjdzie Agnieszka z ich cudownymi blond aniołkami i spojrzy na niego z miłością. Sprawdza raz jeszcze swój stan, wciągając powietrze głęboko do płuc.

Jezu Chryste – bierze wdech.

I wydycha powietrze ze słowami: zmiłuj się nade mną, grzesznym.